

Moja droga - rozmowa z Jerzym Białobokiem

Anette Mattson

Tłum.: Joanna Krawczyk



Przejażdżka na ogierach Eufkrat i Dambor. Urszula Laufersweiler, wkrótce Białobok (z lewej).

60 lat państwowej Stadniny Koni w Michałowie

Dla Stadniny Koni w Michałowie, największej aktualnie stadniny koni arabskich na świecie, rok 2013 to rok obchodów Wielkiego Jubileuszu, ale też podsumowania 60 lat pracy hodowlanej i nieustającego rozwoju. Geniusz hodowlany i wizjonerstwo Ignacego Jaworowskiego, wieloletniego, nieżyjącego już dyrektora stadniny, twórcza pasja, oddanie i wytrwała praca jego następców Urszuli i Jerzego Białoboków oraz znakomitego zespołu ludzi stadniny stworzyły podziwiany na całym świecie i najbardziej poszukiwany typ konia arabskiego.

Z 25 klaczy jakie były podwaliną stada liczącego dzisiaj 124 matki, które wywodziły się w większości z odzyskanej stadniny w Janowie Podlaskim oraz z grupy odnalezionych i uratowanych klaczy z hodowli prywatnej (ulożonych początkowo, w 1947 roku w majątku ordynacji Zamojskich w Klemensowie), powstała stadnina o najwyższym standardzie będąca dumą polskiej hodowli.

Poniżej zamieszczamy wywiad z Jerzym Białobokiem, obecnym dyrektorem Stadniny Koni w Michałowie, przeprowadzony przez wielką przyjaciółkę polskiej hodowli Anette Mattson ze Szwecji.

AM: Proszę opowiedzieć, w jaki sposób konie stały się ważną częścią Pana życia? Skąd Pan pochodzi i czy konie były obecne w Pana rodzinie?

JB: Ja właściwie nie pochodzę z końskiej rodziny. Mój ojciec był hodowcą drzew, leśnikiem i ogrodnikiem. Był profesorem i dyrektorem Instytutu Dendrologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku, a pochodził z Puław. Tam jego ojciec, a mój dziadek, był hodowcą drzew i nawet wyhodował świerk, który dzisiaj nazywa się „świerkiem Białoboka”. Tak, że tradycje hodowlane w naszej rodzinie były zawsze, ale dotyczyły one nie tylko koni. Wokół Instytutu w Kórniku był olbrzymi park, w którym w tamtych czasach, w latach 50-tych, pracowały konie toteż wcześniej się z nimi zetknąłem, zacząłem jeździć konno i bardzo się do nich przywiązałem. Wszystkich chłopców w wieku szkolnym interesowały wtedy samochody, motoryzacja, samoloty, a mnie interesowały konie, które wtedy były traktowane w Polsce trochę jak zło konieczne - potrzebne, bo nie było tyle traktorów, ale kojarzące się z naszą międzywojenną tradycją, co w latach 50-60-tych nie było w Polsce specjalnie popularne.

I to zainteresowanie przełożyło się oczywiście na jazdę konną oraz na to, że wybrałem studia w szkole rolniczej na kierunku zootechnika, a później specjalizację z hodowli koni. Podczas studiów odbywałem praktyki w znanym poznańskim ośrodku hodowli koni w Posadowię, gdzie kiedyś po rewindykacji koni z Niemiec były „janowskie” araby oraz sam dyrektor Andrzej Krzyształowicz. Mój poprzednik, dyrektor Ignacy Jaworowski, również zaczynał pracę w pobliskim Racocie, stadninie koni półkrwi. Po odbyciu praktyki w Stadninie Koni Posadowo, o której pisałem pracę magisterską, odbyłem również półroczną praktykę w Liskach. Jest to stadnina trakeńska, prowadzona wówczas przez Jacka Pacyńskiego, który spędził tam całe swoje życie. Była to, moim zdaniem, najlepsza hodowla koni trakeńskich, czy też jak je nazywano wówczas w Polsce - w typie mazurskim. Tam spędziłem pół roku, dostając również solidną szkołę.

AM: Gdzie po raz pierwszy zetknął się Pan z końmi arabskimi i kiedy zaczął Pan pracę w Michałowie?

JB: Zawsze ciągnęło mnie do koni orientalnych. Być może było to związane z jakąś taką nutą romantyzmu tkwiącą w każdym Polaku i przygodami Emira Rzewuskiego. Interesował mnie orient, kraje Bliskiego Wschodu i to, że 200 ostatnich lat historii Polski było ciągle związane z tym, co działo się na wschodzie. Dlatego też skierowałem swoje pierwsze kroki do Janowa Podlaskiego. Niestety akurat w tym czasie nie było miejsca dla stażystów, ponieważ Janów nie dysponował wtedy żadną bazą hotelową ani mieszkaniową. Będąc na przeglądzie wiosennym na torze wyścigowym w Warszawie, po rozmowie z dyrektorem Krzyształowiczem, pani Izabella Zawadzka zaproponowała, żebym porozmawiał z dyrektorem Ignacym Jaworowskim. Po krótkiej rozmowie On się zgodził i powiedział żebym przyszedł na praktykę jak mogę najszybciej. Tak więc po obronie pracy magisterskiej w lipcu rozpocząłem pracę w Michałowie, dokładnie od 15 sierpnia 1977 roku, w ten sposób spełniając swoje marzenia.



Jerzy i Urszula Białobok

Było to ponad 36 lat temu. Zaczynając tę praktykę nigdy nie myślałem, że zostanę tutaj tak długo.

Moje pierwsze spotkanie z końmi arabskimi miało miejsce w poznańskim. W okresie powojennym, w latach 50. i 60. część wybrakowanych ze stada klaczy arabskich była sprzedawana do majątków rolnych, gdzie służyły jako konie zaprzęgowe do rozjazdów dla kierowników gospodarstw. Nadawały się do tego idealnie, ponieważ były to konie bardzo wytrzymałe, potrafiły iść 8-12 godzin w bryczce pokonując nieraz dziesiątki kilometrów. W tamtych latach konie arabskie prezentowały typ bardziej użytkowy. Oczywiście później w większym zakresie miałem kontakt z końmi arabskimi na torze wyścigowym i wreszcie na olbrzymią skalę po przyjeździe do Michałowa.

AM: Michałów znajduje się w województwie świętokrzyskim, w okolicach Kielc. Co czyni ten region odpowiednim dla hodowli koni i czy lokalizacja stadniny ma wpływ na ich rozwój?

JB: Wynika to z tradycji. W okresie międzywojennym wiele gospodarstw, wiele majątków ziemskich w tych okolicach dostarczało konie na potrzeby armii. Było to całkiem niezłe źródło dochodu dla właścicieli ziemskich. Świętokrzyskie słynęło z tego, że konie bardzo dobrze się tutaj odchowywały. Ta gleba ma dużą zawartość wapnia i dużą zawartość składników mineralnych, co pozwala budować dobry kościec. Ponidzie jest doliną rzeki Nidy, w związku z tym jest tu bardzo dużo naturalnych łąk, które służyły za pastwiska. Dlatego też Michałów bardzo dobrze nadaje się do hodowli koni arabskich. Poprzednia lokalizacja, w Klemensowie nie była najlepsza z tego względu, że było to dla koni arabskich zbyt bogate środowisko. Były to gleby I i II klasy, pszenno-buraczane, bardzo tłuste, położone w dolinie rzeki Wieprz, nisko, gdzie podczas lata była bardzo duża wilgoć, a trawy były bardzo mocne. Żrebięta według opinii dyrektora Jaworowskiego często tam bardzo chorowały na zapalenia górnych dróg oddechowych. Oczywiście nie było wtedy aż tylu antybiotyków co dzisiaj, ale to środowisko z powodu dużej żyzności powodowało, że arab, który ma być koniem suchym, robił się koniem limfatycznym, nalany gdyż tkanka była zbyt przetłuszczona. To z kolei powodowało, że stawy skokowe były za mało suche, pojawiały się na nich często opoje, a szlachetność głowy i szyi gubiła się z powodu zbyt dużego otłuszczenia. Dlatego też po pięciu latach zdecydowano przenieść stadnię do Michałowa świętokrzyskiego, gdzie ziemie były słabsze, z dużą zawartością składników mineralnych, a klimat był bardziej kontynentalny, przewiewny, bardziej upalny. Temperatury były wyższe, nasłonecznienie duże i często zdarzało się, że pastwiska potrafiły żółknąć, a ziemia pękać. I dlatego uważam, że środowisko w świętokrzyskim jest o wiele lepsze dla koni jak w Klemensowie, które było zbyt bogate.

AM: Ile w ciągu tych 60 lat zmieniło się jeśli chodzi o obsługę koni czy też sposób ich utrzymywania? Czy może odbywa się tak samo jak dawniej?

JB: Ja sądzę, że system wychowu właściwie się nie zmienił, jest taki jak 60 lat temu. W naszych warunkach klimatycznych tak naprawdę nigdy nie wypasało się koni arabskich przez całą noc. Były to konie bardzo cenne, a stadnina położona jest w miejscu nie zupełnie odosobnionym, czyli decydowały względy bezpieczeństwa. Poza tym poprzednie ogrodzenia były ogrodzeniami drewnianymi, które łatwo ulegały uszkodzeniu. W związku z czym zachodziła obawa, że konie mogą w okresie nocnym opuścić pastwiska. Więc zawsze spędzały one około 8 godzin na pastwiskach, co wydaje mi się, że dla araba jest zupełnie wystarczające. Arab to nie folblut, który musi przebywać na pastwisku maksymalną ilość miesięcy w roku, ażeby intensywnie budować swoją masę ciała, by jako dwulatek być gotowym do biegania. Potrzeby bytowe araba na budowanie masy ciała i wzrost są o wiele mniejsze jak konia pełnej krwi angielskiej, dlatego też ten wymyślony reżim postępowania dziennego jest właściwie niezmienny od 60 lat. Oczywiście historycznie na pewno na Wołyniu, Podolu te konie przebywały większość czasu letniego na zewnątrz, ale tam były bezkresne pastwiska, stepy, dosyć spora grupa ludzi, która pilnowała tego stada konno, ale tam również najcenniejsze konie wracały na noc do stajni.

AM: Ile osób pracuje w stadninie i jaka jest łączna ilość koni?

JB: Michałów hoduje nie tylko konie, ale również bydło mleczne: czarno-białe i rasy Jersey. Poza końmi arabskimi hodujemy konie maści tarantowatej i małą grupę kucy szetlandzkich. Wszystkich pracowników, łącznie ze mną, jest 44. Samych masztalerzy jest 15, 8 ludzi zajmuje się hodowlą bydła, 10 osób to inżynierowie, którzy pracują i nadzorują hodowlę zwierząt, dalej księgowość i pracownicy zajmujący się uprawą roli. Ponieważ Michałów produkuje prawie 100% całej paszy dla koni i bydła, dokupujemy tylko dodatki mineralne. Produkujemy około 1000 ton zboża, które zostaje zjadane przez nasz inwentarz.

W samym Michałowie jest 400 koni i 600 sztuk bydła - 300 to krowy mleczne, reszta do młodzięz. Zatem 1000 sztuk zwierząt jest utrzymywanych na 670 ha przy niewielkiej obsadzie pracowników. Sądzę że mamy normy i standardy zupełnie jak w Europie i jest to tzw. minimum konieczne do

utrzymania stadniny. 20 lat temu w Michałowie było około 100 pracowników, więc ta ilość zmniejszyła się o połowę poprzez mechanizację. Na pewno hodowla koni wymaga więcej ludzi. Im jest ich więcej tym lepiej, ale z drugiej strony trzeba brać pod uwagę warunki ekonomiczne, zysk i utrzymanie przedsiębiorstwa i dlatego musimy zamykać się w tych standardach.



Na pastwisku z klaczą Mitra - Jerzy Białobok, Izabella Pawelec-Zawadzka, Urszula Laufersweiler.

AM: Jak ważne jest dla stadnin utrzymanie rodów męskich i linii żeńskich? Wiem, że Michałów utracił linię Murany I or.ar. i Scherife or.ar., ale też wprowadził do stada trzy nowe rodziny (Selma or.ar., Rodania dor.ar. i Adjuze or.ar.).

JB: Oczywiście z punktu widzenia hodowlanego i genetycznego jest bardzo ważne, by utrzymywać jak największą różnorodność genetyczną i mieć linie żeńskich jak najwięcej, mając również do dyspozycji jak największą ilość rodów męskich. Takie są założenia teoretyczne jakkolwiek życie toczy się swoją drogą. Czasami zadajemy sobie na przykład pytanie, dlaczego niektóre rodziny rozwijają się wspaniale, a niektóre gorzej, a wręcz powiedziałbym negatywnie, bo coraz trudniej jest uzyskać z nich ciekawe klacze. Pierwsze klacze arabskie, które dotarły do stada w 1950 r., to Miriam, Mufta i Armenia. Zostały one skierowane najpierw do stadniny półkrwi, która tutaj istniała. W 1953 r., kiedy jesienią dotarły 22 klacze z Klemensowa, wszystkie zostały wcielone już do stadniny arabskiej. Ciekawe jest zestawienie tych linii żeńskich, które miały swoje przedstawicielki w roku 1953, z tymi, które mamy w roku 2013. Jak to wygląda? Przytoczę tylko suche liczby. Na przykład rodzina klaczy Gazella w 1953 r. zaczęła się od dwóch klaczy, dzisiaj mamy tych klaczy 20. Miecha z kolei jest bardzo oporna, bo zaczęło się od dwóch klaczy i ciągle mamy dwie klacze. Lepsza okazała się Sahara, zaczęła się od 3 klaczy, dzisiaj tych klaczy jest 7. Natomiast nasza sztandarowa i najlepsza rodzina Milordki, której przedstawicielką było 8, dziś rozrosła się do 42. I to jest to, o czym mówiłem wcześniej, że niektóre rodziny się rozwijają wspaniale jak Gazella czy Milordka, a niektóre stoją w miejscu. Również skromnie, ale jednak rozwojowo ma się sprawa z rodziną Ukrainki, którą reprezentowała tylko 1 klacz, a w tej chwili jest ich

7. Bardzo dobrze rozwinęła się Szweykowska - z 2 klaczy do 14. Wołoszka zatrzymała się właściwie w miejscu. Były 3 klacze i zostały 3 klacze. Powiększyła się również rodzina Semrie od 1 do 4. Natomiast straciliśmy rodzinę Murany. Murana miała 2 klacze, a w tej chwili nie mamy żadnej, ponieważ klacze te nie rodziły córek, które nadawałyby się do wcielenia do stadniny. Straciliśmy również Scherifę - mieliśmy 1 klacz, w tej chwili nie mamy ani jednej. Ale za to powstały 3 nowe, których nie było w 1953 r.: Selma, która ma w tej chwili 16 klaczy, Rodania - 7 klaczy i Adjuze - 2 klacze. Podsumowując, straciliśmy 2 rodziny, ale powstały 3 nowe. W ciągu 60 lat z tych początkowych 25 klaczy mamy dziś 124.

nadawałyby się do wcielenia do stadniny. Straciliśmy również Scherifę - mieliśmy 1 klacz, w tej chwili nie mamy ani jednej. Ale za to powstały 3 nowe, których nie było w 1953 r.: Selma, która ma w tej chwili 16 klaczy, Rodania - 7 klaczy i Adjuze - 2 klacze. Podsumowując, straciliśmy 2 rodziny, ale powstały 3 nowe. W ciągu 60 lat z tych początkowych 25 klaczy mamy dziś 124.

Układa to się bardzo różnie i szczególnie w dzisiejszych czasach bardzo trudno jest utrzymać taką dużą różnorodność. Dzieje się tak dlatego, że klacze przez kilka lat albo rodzą ogierki albo córki, które są poniżej tzw. minimum selekcyjnego, pozwalającego na wcielenie ich do stada matek. Ponadto stadnina i stado musi się rządzić pewną ekonomią, która w dzisiejszych czasach została postawiona na pierwszym miejscu przez naszego właściciela. Skarb Państwa. Każda jednostka hodowlana musi przynosić zysk. Bo jeżeli go nie będzie przynosiła, to po prostu los jej jest z góry określony. Dlatego trzeba liczyć się z tym, że przy ciągłym podnoszeniu poziomu hodowli muszą być też straty. Hodowla koni jest zajęciem twórczym i czasami trzeba ponosić tego konsekwencje, np. my z dużym samozaparciem odtwarzamy rodziny i czasami wykazujemy maksimum dobrej woli, dając szanse nienajlepszym klaczom.

Jeszcze bardziej ciekawa jest kwestia reproduktorów, ojców klaczy. W tej chwili przedstawia się to następująco: córek ogierów z rodu Bairactara or.ar. mamy 10, z rodu Ibrahima or.ar. jest 5 klaczy, II-derima or.ar. 5, z Krzyżyka or.ar. i Kuhailan Afasa or.ar. po 3, Kuhailana Haiti or.ar. 30, natomiast z rodu ogiera Saklawi I jest aż... 68 klaczy, czyli ponad 50% stada. Dlaczego tak się stało? Odpowiedź jest prosta - ponieważ używało się ogierów o najwyższych dostępnych standardach, a one pochodziły akurat z tej linii. A były to takie ogiery jak np. Wiliam, choć ten był ogierem wyścigowym. Uroda jest trudniejszą cechą do oceny. Ostatnio używaliśmy nasienia takich ogierów jak Enzo (US) i Eden C (US) i dały one bardzo urodziwe potomstwo. Również z tego samego rodu pochodził Emigrant, który dawał klacze w bardzo polskim, może trochę starszym typie z bardzo ładną głową i szyją, bardzo eleganckie i żeńskie. I doskonałe matki. Również z tej samej linii pochodził Gaspar, syn Emigranta i wydzierżawiony ogier Galba, który dał parę całkiem niezłych koni. Chyba najlepszym ogierem z tej linii był Laheeb (IL). Jest on ogierem o rodowodzie czysto egipskim, który poza Palasem najlepiej dopasował się do naszych klaczy. Pozostaje tajemnicą hodowlaną, dlaczego Laheeb w pierwszym roku dał wspaniałe, rewelacyjne klacze, które sięgnęły po największe trofea, np. Emira, Galilea, Dumka, Ellissara, natomiast użyty po paru latach nie pozostawił nic godnego uwagi, mimo że był używany na podobnych klaczach.

Często tzw. powroty hodowlane bywają różne. Swego czasu takim epokowym ogierem dla nas był Probat (SE), który, jak na tamten czas dał doskonałe klacze oraz kilku bardzo dobrych synów. W Michałowie używaliśmy przez dwa sezony jego syna, janowskiej hodowli, ogiera Piruet, Liczyliśmy na to, że ten niezwykle urodziwy ogier, podobnie jak Probat, da bardzo dobre klacze, urodziwe, wyrostowe, doskonale się ruszające. Ale tutaj okazało się, jak wielką intuicję hodowlaną miał dyrektor Krzyształowicz, który dość szybko zdecydował się go sprzedać. Powiedział kiedyś, że ten koń jest bardzo ładny, ale on w niego nie wierzy i że - na jego nos - on potomstwa dobrego nie da. Ogier ten był dwukrotnie czempionem świata w Paryżu na Salonie Konia, ale potomstwa, które znacząco wyróżniłoby się w hodowli nie dał. My nie chcieliśmy kierować się jedynie popularnością ogierów ale używać ogiery z czysto polską krwią, dlatego użyliśmy Pirueta. Niestety ani w Janowie, ani w Michałowie nie zostawił dobrego potomstwa. Wracając dalej do rodu Saklawi I, to również urodzony w Janowie syn Laheeba, Poganin, zapisał się jako ogier dający dobre matki. Sanadik El Shaklan (DE) nie był użyty szeroko, ale

„wypalił” doskonałą El Doradą. Nie mieliśmy wiodącego ogiera na córki Monogramma, dlatego zdecydowaliśmy się na użycie ogiera Gazal Al Shaqab (QA), który w Michałowie zostawił doskonałą stawkę klaczy. Czyli ponownie z rodu Saklawi I. Kolejnym „Saklawim” jest QR Marc (US), wnuk Gazala Al. Shaqab. ogier obecnie ogromnie popularny i najbardziej ceniony, którego potomstwo odnosiło w ubiegłym roku wielkie triumfy, np. Wieża Mocy czy też Equator. Ciągłe poszukujemy dobrych ogierów z innych rodów, ale nie zawsze jest łatwo je znaleźć. Podsumowując rody męskie - gdy zaczynaliśmy hodowlę w 1953 r., nasze 25 klaczy pochodziło po ogierach z 10 rodów męskich. Dzisiaj mamy 120 klaczy, które pochodzą z 7 rodów męskich. Jak widać, coraz trudniej jest zarówno wyhodować, jak i znaleźć ogiery z innych rodów. Z niektórych rodów jest niezwykle trudno uzyskać wybitne ogiery, gdyż albo mają zbyt słaby potencjał genetyczny albo nie wytrzymują standardów dzisiejszego araba.

AM: Podstawowe stado bazowało głównie na siwych koniach, o rodowodach czysto saklawiańskich, zgodnie z założeniami dr. Skorkowskiego. Czy program hodowlany uległ zmianie wraz z włączeniem koni w typie kuhailańskim, czy Michałów nadal jest ostoją typu Saklawi?

JB: Doktor Edward Skorkowski odtwarzał po wojnie hodowlę koni arabskich zebranych z rozproszonego materiału ocalałego z pożogi wojennej dzięki wywiezieniu tych koni do Niemiec, a później ich rewindykacji z małymi stratami.

Konie, które wywędrowały na wschód we wrześniu 1939 r. do Tierska nigdy już do nas nie wróciły, korzystaliśmy dopiero z ich następnych pokoleń. To co ocalało w Polsce zostało podzielone według dr. Skorkowskiego na trzy poszczególne typy: saklawi, które według ogólnej opinii były synonimem piękna, szlachetności, urody, wspaniałego ruchu, ale też i pewnej delikatności oraz mniej odporne na trudy życia i treningu.



Jerzy Białobok (powozi), Urszula Laufersweiler i michałowskie taranty.
Fot. Zofia Raczkowska.

Z drugiej strony były kuhailany - przyjmowano wtedy, że były one maści gniadej, może mniej urodziwe, o nie takiej łabędziej szyi, nie takim rysunku głowy, może troszeczkę niższe, w mniejszych ramach, bardziej krępe, zwarte, ale za to dzielne, wytrzymałe i odporne. Dr Skorkowski wyodrębnił jeszcze grupę kasztanowatych munigi, do których zaliczył właściwie wszystkie pozostałe, które nie odpowiadały jego podstawowemu podziałowi. Aczkolwiek, jeśli zagłębiamy się w literaturę o koniach arabskich, czy też prowadząc rozmowy z ludźmi mieszkającymi na Bliskim Wschodzie, których dziadowie hodowali konie arabskie, podział taki tam nigdy nie istniał i nigdy go nie przestrzegano.

Zwyczajowo uważano, że w Michałowie przeważa typ saklawi, przez to również, że używano ogiera Amurath Sahib, który dawał konie białe jak śnieg i mocno wyrównywał typ całego stada. Właśnie w takim typie był zakochany dyrektor Jaworowski, który był takim trochę niepokornym hodowcą, traktującym teorie Skorkowskiego z pewnym przymrużeniem oka, bo uważał, że koń arabski, którego hodujemy powinien przede wszystkim być koniem „ładnym”. „Ładnym i zgrabnym”, koniem takim, jakiego widywało się na obrazach Juliusza Kossaka i takim jak wynikało z opisów słownych, które znajdujemy w literaturze czy na rysunkach przeróżnych ludzi odwiedzających majątki ziemskie na Kresach. Dlatego też tak bardzo zależało mu na powrocie do krwi tych najszlachetniejszych koni saklawiańskich i stąd się pojawił Nabór, a potem jego syn Negatyw. To był okres, w którym potomstwo tych ogierów zmieniło zupełnie wizerunek michałowskiego stada. Zresztą w późniejszym czasie okazało się to bardzo słuszną decyzją. My możemy uważać, że nasze konie są dobre czy doskonałe, ale mimo wszystko oceną rzeczywistą jest wystawienie ich do publicznej, obiektywnej oceny przez grono osób, znających się na koniach tej rasy. I tak w 1973 r. pojechaliśmy na nasz pierwszy Czempionat Europy

w Verden w Niemczech, gdzie nasza Estebna wygrała, porażając wszystkich swoją jakością. I to było sprawdzianem, że obrana przez nas droga hodowlana jest dobra, że koń arabski ma być urodziwy.

W okresie powojennym panowała pewna teoria, która miała niestety swoje podłoże polityczne: że koń arabski nie może być dalej pańskim koniem. Że ma być to koń nie dla arystokratów, a ma być to koń dla uszlachetniania pogłowia koni roboczych czy koni półkrwi, niezbędnych w odbudowującym się kraju, w którym nie było maszyn. Konie te miały być używane w rolnictwie. A wiadomo, że produkcja żywności była rzeczą najważniejszą, bo głodny naród był niepokornym narodem. Więc trzeba było go nakarmić, a do tego jako siła pociągowa przez szereg lat, do lat 60-tych, służyły konie. Dlatego powstał taki projekt, który został częściowo zrealizowany, stworzenia araba użytkowego. Takiego konia, który nadawał się do pracy - mato w sumie urodziwego, wyższego, z dużą masą, kalibrem. Te konie z reguły były końmi zamaszystymi, ale również końmi ordynarnymi.

Na szczęście po jakimś czasie udało się od tego kierunku odejść. Konie arabskie miały kłopot, by znaleźć swoje miejsce w powojennej historii Polski, bo padało jedno pytanie: czemu i komu ten koń arabski ma służyć, jeśli nie będzie służył tylko do poprawiania pogłowia koni półkrwi. I wtedy pojawiła się furтка, którą był pierwszy eksport tych koni, czyli możliwość pozyskania cennych dolarów, które dla odbudowującej się gospodarki były niesłychanie ważne. Moim zdaniem eksport koni arabskich, który zaczął się rozwijać w latach 70-tych, uratował te konie. Z jednej strony je uratował, a z drugiej nakreślił ich przyszłość, ponieważ chcąc konie eksportować, trzeba było nadążać za tendencjami, które pojawiały się na rynku. Choć to Anglicy pierwsi zaczęli kupować nasze konie, szybko zaczęliśmy sprzedawać dużo koni do Stanów Zjednoczonych, w związku z czym zaczęliśmy produkować konie w pożądanym tam typie.

Koniem, który zrewolucjonizował nasz eksport i uzmysłowił Amerykanom, że trzeba przyjeżdżać do Polski po dobre konie, był Bask, który stworzył zupełnie inną jakość na rynku amerykańskich arabów - konia rosłego, z doskonałym ruchem, w dużych ramach, z kapitalną szyją, pełną wyrazu, z pięknym okiem i głową, a ponadto z bardzo dobrym charakterem, który poddawał się doskonale treningowi pod siodłem. Amerykanów ponadto interesowało aby koń ten miał predyspozycje użytkowe, a te potomstwo Baska miało wręcz wybitne. Ten typ konia arabskiego obowiązywał przez szereg lat.

W podobnym typie był zresztą El Paso, który również został Narodowym Czempionem USA. Idąc dalej, również Pogrom jest w podobnym typie, „trochę kuhailan”, mocny, bardzo prawidłowy, o pięknym oku, zamaszysty, z doskonałym ruchem, pełen werwy i dynamizmu. Takie konie nazywane są przez nas kuhailanami. Natomiast uważam, że w Michałowie ciągle mamy stado koni saklawi. Te fundamentalne klacze były i nadal są ciągle maści siwej, jak chociażby cała rodzina Milordki na literę E z takimi klaczami jak Emigrantka, Emanacja czy Emanda, Emandoria, El Dorada. Są to klacze w doskonałym typie saklawi, w takim typie który nam najbardziej odpowiadał.

Ogierem, który zapisał się bardzo dobrze w Michałowie, był również Eukaliptus. Dał on doskonałe córki, a z kolei jego ojciec, Bandos, w ogóle do stada michałowskiego się nie dopasował. Pamiętam taki przegląd hodowlany w Janowie Podlaskim, w którym wyszło 16 dorosłych córek Bandosa.

W Michałowie, z córek Bandosa zaledwie 2 czy 3 pozostały dłużej. Jak to dziwnie w tej hodowli bywa, że koń mimo przeróżnych prób nie dopasował się w Michałowie. Zresztą podobnie Banat, z rodu Krzyżyka, który zupełnie „nie wpisał się” w nasze klacze. Ale za to użyliśmy innego „Krzyżyka”, ogiera Piechur, który był siwy i bardziej przypominał konia w typie saklawi. Zresztą mój poprzednik, dyrektor Jaworowski, uważał, że w ogóle czasami najlepsze są „mieszance”. Z tym, że tutaj trzeba mieć bardzo duże wyczucie, bo są klacze którym ogier w innym typie bardziej odpowiada. Natomiast są niektóre bardzo mocne kuhailany, które negatywnie łączą się z klaczami w zdecydowanym typie saklawi. I ja ciągle szukam dla tych klaczy odpowiedniego ogiera, powiedzmy egipskiego, w typie saklawi, takim jaki był Patos czy Laheeb. Z tym, że musi to być koń współczesny, o współczesnych liniach.



Czempionat Europy, Moorsele 2012.

AM: Proszę wymienić te ogiery i klacze, które Pana zdaniem miały największy wpływ na program hodowlany Michałowa - przed i po roku 1980. Zastosujmy taki podział, ponieważ okres o którym tu mowa jest bardzo długi.

JB: Czas jest faktycznie długi, ponieważ minęło już 60 lat nieprzerwanej hodowli. Ale tak jak już powiedziałem wcześniej, za największą rewolucję uważam przestawienie hodowli na o wiele wyższy poziom i wyrównanie stada poprzez ogiery Nabór i Negatiw. Przed nimi należy wymienić Amurath Sahiba, który nasze klacze wyrównał, dając im mocny kośćiec, doskonałe „góry” i dobrze ustawioną szyję. Stworzył fundament, na którym łatwiej było już budować. Takimi legendarnymi końmi były na pewno córki Nabora i Negatiwa. Choć działał krótko, doskonałą pracę zrobił Comet, który potrafił dawać bardzo delikatne, urodziwe klacze, również siwe. One były moim zdaniem zupełnie inne od „Naborek” i „Negatywek”. „Cometki” były bardziej wysublimowane, jakby wycięte przez wiatr pustyni, lżejsze, elegantsze, jak baletnice. Dla mnie był to taki synonim piękna, suchości, swobody, wspaniałego ruchu. Niestety los zabrał go wcześniej z hodowli koni. Uważam, że to właśnie te ogiery na początku stworzyły podwaliny pod dobre stado. Z córkami tych ogierów doskonale łączył się Palas, połączenie to nazywano nawet mianem Polish Golden Cross. „Palasianki” w tej grupie były również bardzo urodziwe, szlachetne, ale niestety, moim zdaniem, nie zawsze dorównywały klasą matkom, od których się wywodziły, bo dosyć często Palas potrafił dać dosyć krótkawą i grubą szyję, okrągły zad i miękki grzbiet. Na szczęście dawał też dużą suchość i szlachetność, a polskie klacze potrafiły często przebić się przez jego genotyp swoją długą szyją, dobrą górą i kapitalnym ruchem. Powrotem do Cometa było poszukiwanie ogiera, który miał w sobie jego krew. I w ten sposób znaleziono w Szwecji Probata, syna wyhodowanego w Michałowie ogiera Pohaniec po Comet. Dyrektor Jaworowski zakochał się w Probacie i ogier ten został użyty w Michałowie na dużą skalę. Dał bardzo dobre i wyrównane potomstwo, które na tamte czasy było potomstwem rewelacyjnym. Odnieśliśmy szereg sukcesów potomstwem Probata, już młode klaczki potrafiły plasować się kolejno od 1. do 5. miejsca w klasie. Do tej grupy na pewno trzeba dodać ogiera, który moim zdaniem wywarł największy wpływ na hodowlę w ostatnich czasach. Był to Monogramm (US), z rodu Kuhailana Haiti, który użyty w Michałowie dosyć szeroko, zarówno przez krycie naturalne jak i inseminację, dał doskonały typ klaczy - bardzo żeńskich, doskonale się ruszających, w dobrym typie, z pięknym okiem i doskonałą szyją. Ponadto Monogramm

bardzo poprawiał - na i tak dobrych michałowskich klaczach - urodę. Czego do tej pory nie mogę zrozumieć, to dlaczego ten ogier, używany przecież w Stanach, nie dał tam żadnego wyróżniającego się potomstwa z wyjątkiem swojego syna Concensusa. Co dziwne, nie dał klaczy, na wystawach i pokazach nie widziało się, z wyjątkiem polskich, innych jego córek. Jego córki, michałowskiej hodowli, zdobyły szereg czempionatów w USA i w Europie. Kwestura była najdrożej sprzedanym koniem w historii polskiej hodowli za 1,125 miliona Euro, sama również była czempionką Stanów, podobnie jak jego inna córka, Zagrobla. To są doskonałe klacze. Ogier był w zasadzie tylko użyty w Michałowie, nie zyskał aprobaty hodowców janowskich, głównie chyba z powodu maści. A okazało się, że dawał on bardzo dużo koni siwych, nie dawał aż tak dużo „malowanych” kasztanów. „Monogrammki” stworzyły swoistą epokę jeżeli chodzi o grupę klaczy. Zresztą podobnie jak w swoim czasie „Naborki” i „Negatywki”, później „Probatki” i wreszcie „Monogrammki”. Takim ogierem, który również zapisał się pozytywnie w ostatnich latach był ogier Laheeb, który z kolei dawał klacze w typie Saklavi, bardzo urodziwe i typowe, które okazały się również bardzo dobrymi matkami. Z ogierów z „najmłodszej półki” na pewno trzeba wspomnieć o QR Marcu, który dał w Michałowie grupę dobrych klaczy i sądzę, że kilka z nich zostanie doskonałymi matkami. Wracając jeszcze do Monogramma, który oprócz stawki znakomitych klaczy, dał dwóch doskonałych synów: Gangesa i Eksterna. Ogiery te są zupełnie inne, tak się różnią jak biały i czarny. Ekstern jest raczej koniem filigranowym maści siwej, zamknięty w kwadracie, o kapitalnej głowie i ruchu. Koń był prezentowany 9 razy i 9 razy był czempionem, wygrywając największe pokazy w Europie. Zaś Ganges, był bardziej w typie amerykańskim, dlatego też wydzierżawiliśmy go do Stanów, został tam wiceczempionem, przegrał czempionat niedużą ilością punktów. Był koniem zupełnie innym, w dużych ramach, z kapitalną szyją, doskonale się ruszającym, otrzymując prawie zawsze maksymalne oceny za ruch, ale bardziej w starszym typie polskich arabów. Ganges nigdy nie dawał głowy o tak mocno „szczupaczym” profilu jak Ekstern, ale uważam, że klacze po obu ogierach są bardzo dobrymi matkami, tworząc grupę bardzo cennych klaczy elitarnych, które powinny znajdować się w stadzie aby rodzić bardzo dobre źrebięta. One mają w sobie wszystko, są doskonale zbudowane na pewno trzeba im poprawić troszeczkę głowy, ale to zwykle jest najłatwiejsze. Sądzę, że obaj pozostawią jeszcze po sobie szereg bardzo dobrych klaczy, a z pewnością jest w tym spora zasługa Monogramma. Natomiast gdybym miał wymienić znaczące klacze w okresie do 1980 roku, to na pewno prym wiodą córki Nabora i Negatiwa, jak Fama, Estebna, Daszawa, Zazula czy Dewiza, to były takie fundamentalne klacze w tamtym czasie. Oczywiście również Warmia z całą swoją rodziną, czy Ekstaza, cudna klacz. A już po latach 80-tych to na pewno trzeba wymienić całą dużą rodzinę klaczy Emigracja, ze wszystkimi jej kolejnymi pokoleniami, m.in. Emigrantką, Emanacją, Emandorią, Emandą. To są klacze, które tworzyły michałowską historię. Również większość córek ogiera Monogramm jak Fallada, Zagrobla, Kwestura, Emmona, to doskonałe klacze, które przyniosły chwałę stadninie. Równie dobrze wspominam grupę klaczy po Probacie, z których najlepszą przedstawicielką była Gaskonia.

AM: Proszę wymienić trzy istotne wydarzenia w życiu Michałowa, które miały miejsce w ciągu tych 60 lat.

JB: Ja sądzę, że pierwszym takim momentem było to, że po 15 latach od założenia stadniny przestano używać ogierów mało typowych, roślących, dzielnych, które produkowały utylitarne araby, czyli araby nadające się do ulepszania koni półkrwi. Takim przełomem było użycie ogierów Nabór i Negatiw. To była fundamentalna zmiana.

Drugi moment miał miejsce na przełomie lat 50-tych i 60-tych, kiedy dokonał się pierwszy większy eksport do Anglii. Jedną z pierwszych klientek była Patricia Lindsay, od której hodowcy amerykańscy a wśród nich Dr Eugene LaCroix, właściciel słynnej Lasma Arabians odkupywali część koni. W wyniku tego pojawili się w Polsce również inni klienci z USA. Przyczyniło się to do zorganizowania pierwszej aukcji w Janowie Podlaskim. Było to 44 lata temu (w 1970 roku) i myślę, że ta pierwsza aukcja zmieniła w jakiś sposób całą filozofię hodowlaną. Dyrektorzy Jaworowski i Krzyształowicz, przekonali się o tym, że konie które produkują znajdują nabywców, gotowych płacić całkiem niezłe jak na owe czasy pieniądze, toteż zdecydowano się tę aukcję utrzymać i kontynuować. Potem w 1973 roku, czyli po trzech latach, wyjechaliśmy na pierwszy czempionat arabski do Niemiec, w 1978 wyjechaliśmy po raz

pierwszy do Paryża na Salon Konia, a w roku 1979 zorganizowano pierwszy Polski Narodowy Pokaz Koni Arabskich. I to właśnie przysłużyło się najbardziej promocji naszych koni arabskich, otworzyło nam drzwi na świat. Wtedy już nikt nie zastanawiał się, czy trzeba w Polsce hodować araby i czy są one potrzebne, a stały się one naszą prestiżową marką eksportową. Do Polski zaczęli przyjeżdżać sławni ludzie, tacy jak Armand Hammer, który był zaprzyjaźniony z samym Leninem, co w naszej socjalistycznej rzeczywistości jak też dla naszych władz było niesamowitą egzotyką. Przyjeżdżali też znani piosenkarze i aktorzy, których obecność podnosiła prestiż imprezy, jak Stephame Powers, Kenny Rogers, czy później Charlie i Shirley Watts. Z czasem ten świat zaczął obrastać w coraz więcej efektownych dodatków, tworzących ten blichtr, który otacza konie arabskie.

Trzecim znaczącym momentem było przekształcenie się Michałowa ze stadniny państwowej, która miała zapewnioną egzystencję w Polsce, w spółkę Skarbu Państwa, która zaczęła rządzić się zupełnie innymi prawami, w której ekonomia zaczęła odgrywać największą rolę. Po wejściu do UE pomoc państwa dla sektora rolniczego skończyła się zupełnie i spółki, stadniny, muszą utrzymywać się same z tego co wyprodukują i sprzedadzą, nie mogą liczyć na żadne subwencje w razie niepowodzenia. Mamy to tak prowadzić, ażeby bilans był zawsze dodatni.



Jerzy Białobok i Mariusz Liśkiewicz z klaczą El Sagihira.

Uważam, że były to właśnie te trzy najważniejsze momenty w życiu Michałowa, trzy etapy, które miały wpływ na hodowlę i weryfikację programów hodowlanych. Prawda jest taka, że nie można hodowli prowadzić „sobie a muzom”, hodowla nie może funkcjonować w oderwaniu od życia i wyłącznie według zasad naukowych, ponieważ konie które się hoduje, produkuje się dla kogoś, dla jakiegoś odbiorcy, a nie po prostu dla siebie. Dotyczy to zresztą wszystkich ras. Analogicznie można by spojrzeć na to, jak zmienił się typ konia półkrwi, konia gorącokrwistego, który z konia służącego potrzebom wojska, stał się dziś koniem czysto wierzchowym, używanym do rekreacji lub w sporcie. Podobnie zresztą zmieniły się konie arabskie. Mówi się o koniach w starym polskim typie i koniach tych bardziej współczesnych. My się bronimy jak możemy, że koń arabski ma być kompletny i obok ładnej głowy posiadać resztę - czyli prawidłową budowę, wybitny ruch, harmonię i arabski „bukiet”. Zresztą tak jest

do tej pory, że nasze konie arabskie wygrywają na pokazach tym, że mają dobre nogi, bardzo dobre kłody, doskonale się ruszają, mają zwykle świetne szyje, chociaż czasem głowa nie zawsze jest tak prześliczna jakby była z kryształu lub porcelany.

AM: Proszę wymienić wydarzenia, które były szczególnie ważne dla Pana. Coś co zapadło Panu w pamięci, zwycięski koń czy też narodziny wyjątkowego zrebienia.

JB: Na pewno to, że podejmując pracę w Michałowie podjąłem mało popularną w latach 70-tych decyzję, aby mając wyższe wykształcenie pracować jako koniuszy, brygadzysta. Ponieważ wyszedłem z założenia, że chcąc cokolwiek zmienić, pewne sprawy unowocześnić i przestawić je trochę na inny tor, o wiele łatwiej będzie mi to zrobić wtedy, kiedy będę miał bezpośredni kontakt z ludźmi i z końmi. Oczywiście wtedy człowiek skazywał się na przebywanie w tej stajni 10 czy 12 godzin łącznie z sytuacjami, które działy się z końmi w nocy czy podczas niedziel i świąt. Ale często wielkie rzeczy powstają z małych zmian. Będąc wśród pracowników o wiele łatwiej było mi niektóre rzeczy zrobić czy w odpowiednim czasie zacząć przygotowywać konie na sprzedaż, ponieważ filozofia ludzi jest zawsze taka, ażeby robić tylko rzeczy konieczne, a wszystkie inne, które ich zdaniem nie są aż tak konieczne, można w jakiś sposób omijać i spłycać. A konia przygotowuje się cierpliwie miesiącami, toteż trzeba zacząć pracować z nimi znacznie wcześniej. Wszystko robione na szybko, na łapu capu nigdy nie osiągnie odpowiedniego efektu. To samo dotyczy prowadzenia rozrodu - jeżeli jest się blisko stajni i blisko ludzi wszystko jest o wiele łatwiejsze. Prowadzenie obiektu, stajni i tego co jest wokół również wymaga czasu i bezpośredniego dozoru, łatwiej to robić będąc bliżej. A jeszcze wieczorami trzeba usiąść nad dokumentacją, której wymaga prawidłowe prowadzenie hodowli.

Funkcję koniuszego pełniłem kilka lat i bardzo dobrze nam się z dyrektorem Jaworowskim pracowało. Później, kiedy wydawało mi się, że udało mi się pewne rzeczy zrobić, osiągnąć, zmieniłem stanowisko, zostałem starszym specjalistą, zajmowałem się większą ilością dokumentów, reklamą, coraz większym wkraczaniem w świat, zacząłem sędziować, jeździć dużo z końmi, wyjechałem do Stanów na aukcję Polish Ovation w 1985 r. Tam ciągle pogłębiałem swoje wiadomości z dziedziny treningu koni i filozofii amerykańskiego rynku - jak się układają stosunki między hodowcą sprzedającym konie, a odbiorcą - klientem. To był następny etap mojego zawodowego życia i liczyłem, że będzie to trwało jeszcze długo. Niestety, stan zdrowia dyrektora Jaworowskiego nie pozwolił mu dalej pełnić tej funkcji i zmusił go do przejścia na emeryturę.

To była dla mnie następna ciężka decyzja. Zdawałem sobie sprawę, jakie są obowiązki i jak to wygląda, ale wiedziałem też, że nadchodzą czasy coraz trudniejsze. Staliśmy się wtedy już spółką skarbu państwa, która ma zupełnie inną odpowiedzialność i inne wymagania. Moja kandydatura odpowiadała naszym władzom agencyjnym. Miałem wtedy już za sobą ponad 25 lat pracy.

Takim najbardziej smutnym momentem było nagłe odejście dyrektora Ignacego Jaworowskiego. Uzmysłowiłem sobie, stojąc nad jego grobem, że zostałem sam. Do tej pory zawsze można było pójść się poradzić, porozmawiać, zapytać o opinię, a tu nagle świadomość, że to się już skończyło. W ogóle, życie hodowcy i życie dyrektora stadniny, który był najpierw hodowcą, a później dyrektorem ma silne emocjonalne zależności, a w rezultacie jest to życie w samotności. Żyje się między koniecznością podejmowania decyzji - które konie, które klacze mają zostać, które trzeba sprzedać i dlaczego. Hodowla to są ciągle wybory - nieraz powtarzam, że hodowla nie lubi sentymentów i że człowiek chcąc podążać zgodnie z prawami ekonomii nie powinien się nimi kierować. Ale niestety jesteśmy tylko ludźmi, a być może na szczęście i ulegamy tym sentymentom, czasami płacąc za to dosyć wysoką cenę. Bycie dyrektorem polega głównie na zmaganiu się z podjętą decyzją, odpowiedzialnością i skutkami, które z tych decyzji płyną. Na pewno to, że z moją żoną Urszulą jesteśmy ponad 30 lat razem, pomaga mi w tej zawodowej samotności. Ona, podobnie jak ja, również całe życie oddała tej stadninie, zajmując się nie tylko końmi, ale jeszcze prowadząc hodowlę bydła. Choć ja jestem w ogóle przeciwnikiem małżeństw pracujących razem, bo to tylko szkodzi małżeństwu, ale jesteśmy na wsi, jesteśmy w tym środowisku i czasami tak się po prostu układa, że ta wspólna pasja i praca ludzi łączy. Nie mówiąc

o tym, że i tak jesteśmy skazani na siebie przez 24 godziny. Ale dzięki temu można też tworzyć nową energię do pracy i nowych pomysłów. Hodowla koni wymaga bardzo dużo czasu. Przynajmniej ja poświęcam wiele czasu na myślenie co zrobić, żeby było lepiej, albo żeby wymyślić lepsze połączenie. Natomiast osoba, która na mnie patrzy, może powiedzieć że ja siedzę i nic nie robię. Ale czasami sam się łapię na tym, że jak spaceruję po stajniach, to rozmawiam sam z sobą. Sądzę jednak, że nie jest to aż tak szkodliwe.



Jerzy Białobok i Mariusz Liśkiewicz z ogierem Equator, Białka 2012.

AM: Co jest najlepsze w byciu dyrektorem stadniny? Jaka jest Pana ulubiona część dnia albo rzecz, która sprawia Panu najwięcej przyjemności.

JB: Mam dwie pory dnia, które uważam za radosne. Wtedy kiedy wstaję rano i o 6 idę do stajni, gdzie spędzam godzinę, czasami dwie. Jest to czas, który człowiek może poświęcić tylko na codzienne obeerzenie koni, wrócić do tej pracy, którą się kiedyś wykonywało. Szczególnie jest to cenne w zimie, kiedy rodzą się źrebięta. Jest to tzw. powrót do natury i bardzo lubię ten czas. A drugi moment to pora wieczorna, kiedy wszyscy już poszli do domu, konie są same w stajniach, biorę psa i idę do nich. Idę wtedy, kiedy panuje już cisza, kiedy jest nareszcie spokój. Nie ma interesantów, nikt nie dzwoni. I to są dwa najprzyjemniejsze momenty dnia. Bo właściwie cały ten środek dnia jest to krótko mówiąc młyn. Bo dzisiaj stadnina to nie tylko hodowla koni. Stadnina to również hodowla bydła, to uprawa roli. Jeżeli chce się podejmować słuszne decyzje, to trzeba każdej z tych spraw dokładnie się przyjrzeć, trzeba je kontrolować, stale utrzymywać dyscyplinę finansową, podejmować różne decyzje, co można kupić, a czego nie trzeba, jaki zrobić plan inwestycyjny, co wybudować, czy to nam pomoże, czy to nam nie pomoże. Jest masa rzeczy, które trzeba rozstrzygać i to lubię najmniej. Lubię również wyjazdy, bo wbrew pozorom, żeby sprzedać konie trzeba ruszyć się z miejsca, wyjechać w świat. Lubię bardzo wyjazdy z końmi na pokazy zagraniczne, choć są one bardzo stresujące. Z jednej strony człowiek ich nie znosi, z drugiej zaś lubi, gdyż spotyka się na ringu z największymi tego świata, wielokrotnie z satysfakcją ich pokonując. Jest to nagroda i radość z faktu, że nasze koncepcje się sprawdzają i znajdują uznanie, a konie się podobają. A poza tym jest to najlepsza promocja. Żaden najlepiej

napisany artykuł nie będzie tym, czym zwycięstwa naszych koni.

Jak już powiedziałem lubię ranki i wieczory, środek dnia jest niestety wypełniony tzw. dyrektorskim urzędowaniem, którego nie lubię, ale które muszę po prostu robić, bo taka jest moja funkcja, takie są obowiązki. Jeżeli bym je zaniedbał, to kondycja stadniny, firmy, Michałowa, byłyby zupełnie inna. A udaje nam się to całkiem nieźle. Michałów jest dziś bardzo dobrze prowadzonym gospodarstwem rolnym. W roku 2001 otrzymaliśmy nagrodę Prezydenta RP za najlepsze gospodarstwo rolne w Polsce i za promocję polskich koni arabskich w świecie.

AM: Ponieważ mieszka Pan na terenie stadniny wraz z żoną, Wasze życie kręci się cały czas wokół Michałowa. W jaki sposób Pan odpoczywa i jak „ładuje” Pan baterie?

JB: Sposób, w jakim się odpoczywa, wynika z wieku, w którym się jest. Jak byłem młodszy to bardzo chętnie wybieraliśmy się do Krakowa czy też do pobliskich Kielc, spotkać się ze znajomymi, pójść do baru, na jakieś tańce, żeby wyrwać się ze wsi i zacząć przez jedną noc żyć życiem dużego miasta, które mimo że całe życie spędziłem na wsi, bardzo lubię. Tak samo jak lubię Nowy Jork, Paryż czy Londyn. Tak było kiedy mieliśmy połowę tych lat, które mamy w tej chwili. Teraz największą przyjemnością i sposobem na ładowanie baterii jest to, że mogę się zająć wnuczką, która ma dwa lata, pójść z nią na spacer, mieć więcej czasu dla niej. Tego czasu nigdy nie miałem dla swojego dorosłego już syna. Czy też wsiadam do samochodu, jadę na pobliskie łąki, patrzę na zwierzęta, na ptaki, słucham przyrody. Bardziej w tej chwili człowiek poszukuje ciszy i spokoju na wsi niż zgiełku dużego miasta. Innym sposobem na złapanie oddechu są spotkania z okazji przeglądów w stadninach. Są one również bardzo w jakimś sensie sentymentalne, kiedy jeszcze możemy się spotkać z takimi ludźmi jak Iza Zawadzka. Wtedy odżywa nuta tej starej historii stadninowej, tej która dzisiaj ma 60 lat. Lubię bardzo rozmawiać na różne tematy z Markiem Trelą, chociaż mamy zupełnie różne zdania, ale z tych różnic czasem wynikają doskonałe pomysły.

AM: Co Pana zdaniem jest ważne dla polskiej hodowli, zwłaszcza patrząc przez pryzmat międzynarodowego rynku tych zwierząt? Jakie są dziś ogólne wyzwania w hodowli koni arabskich?

JB: To bardzo trudne pytanie, na które nie da się odpowiedzieć jednoznacznie. Bo zdajemy sobie sprawę, że hodowla koni arabskich przeżywa na świecie dosyć spory kryzys. Wcześniej Amerykanie dyktowali to, co się na tym rynku działo, z racji tego, że byli największymi odbiorcami naszych koni. I ten rynek się doskonale kręcił, był bardzo pojemnym rynkiem. Obok tego jeszcze była Ameryka Południowa, Brazylia, Argentyna, również skupiająca dość sporą grupę ludzi zamożnych, dla których nasze konie arabskie były ucieleśnieniem ich marzeń. Obecnie potencjalny rynek przeniósł się w zupełnie inną stronę świata. Dziś tymi odbiorcami są kraje arabskie: Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty, Katar, Kuwejt. Poza kupowaniem koni hodowcy arabscy chętnie sponsorują też pokazy europejskie i wystawiają na nich swoje konie. Zupełnie załamał się rynek hodowców i właścicieli koni średniej klasy. W tej piramidzie arabskiej mamy wierzchołek i mamy podstawę, ale zupełnie nie ma środka, czyli takich hodowców, którzy kiedyś hodowali po parę koni. Kupowali nie te z najdroższej półki, ale średniej ceny konie, starali się dobrać jak najlepsze ogiery do tych klaczy, byli naszymi bardzo dobrymi odbiorcami koni środka. Byli to m.in. hodowcy ze Skandynawii, posiadający bardzo dobrą hodowlę, większość tych koni wcześniej czy później trafiała potem do Stanów Zjednoczonych.

Równie duża i mocna była grupa hodowców niemieckich. Pamiętam, jak na czempionatach niemieckich występowało 120 koni, a dzisiaj jest tych koni zaledwie 40. Moim zdaniem, ten świat arabski rozdrobnił się na dwie części. Jedna to jest grupa hodowców koni czysto egipskich, a druga to ci hodujący konie pozostałe, zresztą z dużą domieszką krwi egipskiej. Wiadomo, że najlepsze konie powstają z połączenia krwi egipskiej z odmianami rodzimymi, czy to mówimy o koniach polskich, czy hiszpańskich, czy niemieckich lub rosyjskich. Dzisiaj w tym pędzie do doskonałości hodowcy chcą przede wszystkim uzyskać jak najszybciej sukces, zaistnieć. W związku z tym nie bacząc na nic używają coraz więcej

ogierów, które przekazują bardzo ładne głowy, a z tą resztą, czyli z kłoda, szyją, nogami bywa o wiele gorzej. Często nawet z ruchem tych koni, bo potrafią one w normalnym ruchu po prostu się przewracać, tak są zbudowane. Ale z drugiej strony ci ludzie są też naszymi odbiorcami i na pewno oprócz tych naszych polskich rodowodów musimy czasami używać ogierów tzw. modnych. Zresztą przy pomocy naszych klaczy udało się wypromować parę ogierów, chociażby Monogramma, ale i Gazala Al Shaqab, który przed użyciem w Polsce nie był koniem aż tak znanym. Dopiero jego potomstwo przyniosło mu sławę i oczywiście jego wspomniały syn Marwan Al Shaqab (QA).

Trudno mi właściwie powiedzieć dokąd ten świat koni arabskich zmierza. Skupia się na dużych pokazach, które są sprawdzianami tego, co się w danym roku urodziło oraz wskazuje trendy rynku. Nasze polskie konie spotykają się tam z najlepszymi końmi wyhodowanymi na całym świecie. Szejkowie arabscy kupują konie w Ameryce Południowej, Ameryce Północnej, Australii i zwożą je, żeby pokazywać na Czempionacie Świata w Paryżu czy na Pucharze Narodów w Aachen. Jest to bardzo pozytywne, że udaje nam się z tymi końmi wygrywać. Wydaje mi się, że Europa zaczyna pomалу odzywać i „stawać na nogi”. Wraca ta grupa średnich hodowców, którzy hodują konie urodziwe, a oprócz tego przywiązują wagę aby były one prawidłowe, dobrze zbudowane, z dobrym ruchem, a nie tylko z piękną głową. Ten powrót to bardzo pozytywny sygnał.



Jerzy Białobok Wieża Mocy, Emandilla i Diara - Białka 2012.

AM: Co dla Pana oznacza wyrażenie “koń w typie michałowskim”?

JB: No właśnie, hodowcy często posługują się takim określeniem. Ja kiedyś uważałem, że może to być tylko koń maści siwej, ale na pewno jest to koń w dość dużych ramach, koń który ma około 1,53 m wzrostu, z bardzo dobrze, wysoko osadzoną szyją, dobrze zbudowany, przede wszystkim bardzo dobrze się ruszający, elegancki, w ładnych liniach, z bardzo dobrym, ciemnym okiem, pełen temperamentu a jednocześnie łagodny. Na pewno kiedyś były to w większości klacze siwe, dzisiaj się to troszeczkę zmieniło. Ale jeżeli można porównywać typ michałowski i typ janowski, to wydaje mi się, że te nasze

klacze są bardziej rosłe, bardziej kalibrowe od klaczy janowskich. To się oczywiście na pewno zmienia, ale takimi klaczami, które były wzorcami michałowskiej urody i które ciągle mam w pamięci, to była Emisja, Emigrantka, Emanacja i Emanda. Klacze absolutnie w typie michałowskim to na pewno El Dorada, Pistoria, Palmira, Emmona, Zagrobla. Konie michałowskie bardziej zbliżone do typu janowskiego to np. Warmia czy Wieża Mocy. Ja je bardzo lubię, ale są one troszeczkę w innym typie. Np. bardzo lubię Gangesa, który nie jest koniem typowo „michałowskim” ale reprezentuje po prostu typ doskonałego konia. Może bardziej w michałowskim typie były ogiery Endel, Emigrant, Eldon i Penitent.

AM: Wiem, że konie michałowskie są użytkowane pod siodłem - przez miejscowych jeźdźców oraz na torze wyścigowym. Czy zauważył Pan jakieś zmiany w popycie na zajężdzone konie? Jakie są kryteria wyboru koni do treningu wyścigowego?

JB: Ja uważam, że bieganie koni arabskich na wyścigach jest niezbędne w naszym programie hodowlanym. Obserwuję od szeregu lat konie na wyścigach i mogę powiedzieć, że konia nawet już po półrocznym treningu trudno poznać. One się bardzo zmieniają. Zmienia się kształt jego sylwetki. Ten koń z dziecka robi się młodzieńcem bardziej wygimnastykowanym, wysportowanym. Podczas treningu rozwija się układ kostny, mięśniowy, wydolnościowy, oddechowy, krążeniowy. To wszystko wpływa na to, że ten koń się bardzo korzystnie zmienia. Inną sprawą jest to, czy on jest bardzo szybki czy mniej szybki, niemniej hodowcom zależało przede wszystkim na dobrym rozwoju konia. Przez wiele lat trening wyścigowy był oparty na innym systemie jak obecnie.

Hodowcy, właściciele koni nie otrzymywali wygranych nagród, natomiast pokrywały one utrzymanie koni będących w treningu. Był to taki układ zamknięty. Wtedy 95% urodzonych koni biegało na torze. Michałów miał ok. 70-80 koni na torze wyścigowym w sezonie. Dzisiaj zmieniło się to diametralnie, ponieważ koszt treningu jest pokrywany przez właścicieli koni, w związku z czym tylko te najszybsze mają okazję zwrócić część nakładów poniesionych na trening. Dlatego też wybiera się te konie, które mają „biegający” rodowód oraz eksterier, który predysponuje je do dobrego biegania. W związku z tym na tor trafia maksymalnie 50% koni. Ja staram się jeszcze posyłać te wszystkie klacze, które planuję wcielić jako matki hodowlane i te ogiery, które chcemy żeby były w przyszłości ogierami czołowymi. Póki co udaje nam się to, ale znowu jest to taki układ zamknięty gdyż koń wybitnie biegający na torze wyścigowym musi utrzymywać swoje pozostałe koleżanki i kolegów biegających średnio. Jeżeli te proporcje uda się utrzymać i nie zachwiać, to wtedy możemy ten system kontynuować.

Dzisiaj wiele stadnin nie stać na to, żeby utrzymywać swoje konie na wyścigach, zresztą podobnie jak na całym świecie, nagrody nie pokrywają kosztów utrzymania większości koni wyścigowych. Natomiast jestem jak największym zwolennikiem tego, że wszystkie konie powinny biegać, ale po prostu nas na to nie stać. Alternatywną próbą jest użytkowanie tych koni pod siodłem.

Dawniej były to tylko wałachy, dziś rynek nie jest w stanie odebrać tych wszystkich koni, dlatego też klacze mniej urodziwe, które nie rokują nadziei, albo jest ich po prostu za dużo, zostają zajężdżane w stadninie i przedstawiane do sprzedaży jako konie przyuczone do noszenia jeźdźca na grzbiecie. Wówczas nabywca może użytkować je nie tylko jako konie rekreacyjne, ale również po jakimś czasie do rozrodu. Pomału zaczyna się rozwijać użytkowanie koni arabskich pod siodłem. Pojawiają się pierwsze zawody, organizowane są również mistrzostwa Polski i coraz więcej ludzi udaje się przekonać, że arab jest doskonałym koniem wierzchowym. Zresztą o tym już dawno wiedzieli Beduini, poruszając się po tak ciężkim terenie jak pustynia, dla których konie były jedynym środkiem przemieszczania się, pozyskiwania żywności czy niosły jeźdźców podczas walk plemiennych. Pozwalały ludziom na egzystowanie na Półwyspie Arabskim w tak ciężkich warunkach, jako, że był to jedyny koń, który wytrzymał te ciężkie warunki. Dlatego też to konie arabskie zdominowały rajdy długodystansowe, gdzie jednego dnia trzeba przejechać 160 km, a często średnia na godzinę jest między 25 a 30 km/h. Na początku, 15 lat temu, tempo wynosiło 8-12 km/h. A więc wydolność ta została bardzo poprawiona, aczkolwiek musimy się liczyć z tym, że nie wszystkie konie wytrzymują takie tempo. Na pewno rajdy, czy w ogóle użytkowanie koni arabskich pod siodłem jest doskonałą rzeczą, zresztą tak się dzieje

w Australii czy w Stanach Zjednoczonych. W zimowym pokazie w Scottsdale bierze udział 3 tysiące koni arabskich, z czego tylko nieduży procent pokazywany jest w ręku. Reszta występuje w różnych konkurencjach, począwszy od klas westernowych, hunter, kostiumowych, które są idealne dla pań średnio jeżdżących konno, ale za to mogących pokazać na wspaniałym koniu zarówno swoje walory jak i walory swojego ubioru. To również jest przyszłość i trzeba to robić, ale dopiero po paru latach będzie można mówić o jakimś sukcesie.

AM: Stoi Pan na czele Michałowa od 16 lat, po objęciu tego stanowiska po dyrektorze Jaworowskim. Co nowego dobudował Pan do istniejących fundamentów? Co już Pan po sobie pozostawił?

JB: Najtrudniej jest mówić o sobie czy o swoich osiągnięciach. Gdy obejmowałem stanowisko dyrektora, był nienajciekawszy okres ekonomiczny dla stadniny, były zmiany właścicielskie, w związku z tym trzeba było dokonać restrukturyzacji.

Wydawało mi się, że jest to ten moment, w którym muszę to zrobić od razu. Zmiany można dokonywać tylko wtedy kiedy ma się jeszcze wystarczająco środków finansowych.

Kiedy się ich nie ma i jest się biednym, to już jest za późno.



Jerzy Białobok z klaczą Gaskonia

Wiedziałem więc, że przede wszystkim muszę unowocześnić produkcję i hodowlę (wozy paszowe, hale udojowe), czyli z jednej strony zainwestować duże środki w maszyny do szybkiej produkcji rolniczej, czyli do zbioru siana, zbioru zbóż i zbioru kukurydzy, ograniczyć ilość sprzętu i pozbyć się niewydolnych maszyn, ale co było najbardziej bolesne, rozstać się również z częścią pracowników.

Ponieważ nie chciałem nikogo skrzywdzić, wybrałem taką drogę redukcji pracowników, że rozłożyłem to na 4 lata. Większości z nich udało się pójść na wcześniejszą emeryturę, albo zostali zatrudnieni przez firmy współpracujące z Michałowem, np. firmę ochraniającą stadninę. Jednak to, co zacząłem robić najwcześniej, to inwestować w maszyny, bardzo dobrej klasy i jakości traktory, maszyny do zbioru kukurydzy, samochody do transportu i przewozu koni. To można było zrobić najszybciej i to się udało. Ludzie też się przekonali, że dzięki temu ich praca stała się lżejsza, bo mniej czynności musieli wykonywać przy pomocy mięśni czy wideł, ale wymagało to kompletnej zmiany filozofii i cyklu pracy. Wiązało się to również z wieloma inwestycjami. Zdawałem sobie sprawę z tego, że rynek koni arabskich jest rynkiem niepewnym, gdyż raz sprzedaje się koni za milion euro, innym razem za dwa-trzy, zależy to od bardzo wielu czynników. Dlatego uważałem, że należy zapewnić jakąś stabilność stadninie, stąd decyzja o powiększeniu hodowli krów o 100% i stworzenie z tego bazy podstawowej, czyli drugiej nogi, na której wspiera się stadnina. I tak właściwie przez 10 lat trwa ta restrukturyzacja, budowa nowych obiektów i remont starych. Powstał ośrodek do treningu koni w postaci hali i stajni, stworzyliśmy ośrodek inseminacji i stację, w której się mrozi, inseminuje oraz wysyła nasienie w świat.

Udało się nam też pozyskać dodatkowe środki na remont i budowę obór dla krów, remont pozostałych składników stajni, budowę pomieszczeń dla młodego bydła, a na koniec na remont starego magazynu, który będzie miejscem recepcyjnym do przyjmowania gości, wystawą osiągnięć stadniny, historii konia orientального. Pomału udaje nam się to wszystko realizować. Oczywiście zajmuje to masę czasu, a niezależnie od tego trzeba ciągle utrzymywać wysoki poziom prowadzonej hodowli.

AM: Gdy spogląda Pan w przyszłość, jak widzi Pan kolejne 60 lat Michałowa?

JB: To jest chyba najtrudniejsze pytanie, bo to wszystko zależy od jednej rzeczy, mianowicie od tego jakich ludzi napotka ta stadnina w dalszej historii swojego istnienia. Jednak kreatorem tych wszystkich rzeczy, które się dzieją w stadninie, musi być jedna osoba, która ma wizję; która z jednej strony musi spędzać dużo czasu tu na tej niedużej wsi, żeby rozumieć i prowadzić tę hodowlę, ale z drugiej strony musi bywać w świecie, wiedzieć co się dzieje, jakie w tej chwili konie są dostępne, mieć ze światem stały kontakt. Poza tym trzeba mieć zawsze świadomość jednego, że pokolenia w hodowli koni buduje się wolno, ale pozbyć się ich można błyskawicznie. Hodowla koni jest jak piramida, na samym wierzchołku są najwybitniejsze i jest ich najmniej. Środek jest bardzo ważny, bo są to te bardzo dobre klacze, które produkują doskonałe źrebięta. Największa grupa to podstawa, są to konie różnej jakości, często takie, które najtrudniej rozmnożyć i sprzedać, ale jeżeli zachwiejemy proporcje piramidy i pozbędziemy się za dużo koni z wierzchołka i ze środka, to możemy bardzo szybko tę hodowlę zakończyć. Zanim z powrotem dojdziemy do piramidy zajmie to kilka pokoleń końskich, czyli jakieś 15, 20, 30 lat. Jeżeli chcemy, żeby hodowla dalej istniała, musimy mieć przede wszystkim wizję kierunku, w którym chcemy zmierzać. Sądzę, że państwu musi też zależeć na tym, żeby tego typu ośrodki utrzymywać. Uważam, że na takim poziomie na jakim prowadzony jest Michałów czy Janów, opieka państwa jest konieczna, bo mimo wszystko w hodowli bardzo ważna jest kolektywność postępowania i działań, kiedy hodowcy nie kierują się tylko wyznacznikiem maksymalnego zysku z racji sprzedania jak największej ilości czy sprzedaży najlepszych a zatem najdroższych koni. Jesteśmy ciągle kuszeni znakomitymi ofertami sprzedaży najlepszych koni, jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że możemy rocznie sprzedać jeden, dwa czy trzy najlepsze egzemplarze i tylko jeśli za ich plecami stoją następne generacje, które je zastąpią. Dlatego uważam, że kontrola państwa nad tym najcenniejszym co mamy, polskim koniem arabskim, jest konieczna i sądzę, że jeśli tego nie będzie, to na pewno ta ogólna hodowla bardzo na tym ucierpi. Oczywiście nie ma rzeczy niezastąpionych, ale uważam, że ta stadnina na pewno powinna istnieć przez następne 60 lat, choć może z mniejszą ilością klaczy. Nie wiem czy ten przyszłościowy typ koni będzie podobny do tych, które hodujemy dziś, ale patrząc na obrazy Juliusza Kossaka, to ten typ się tak diametralnie nie zmienił, i sądzę, że przy odpowiednim doborze ludzi i koni jest to jak najbardziej możliwe.

AM: Dziękuję bardzo